

## DUMANIA

W czasie przechadzek samotnych, przez Józefa Bychowca<sup>1</sup>

\*

### MŁODOŚĆ

Gdybyśmy tak z młodości, jak z wieku dzieciennego niewinnie wychodzili, żądalibyśmy najskwapliwiej zwrócić się do lat młodzieńczych. Młodość jest w życiu naszym wielką uroczystością; w niej byt nasz, cnota i sztuka wabią nas pieśzcotami jak łagodne boginie; w późniejszym wieku odzywają się do nas z przykazaniami, jak bóstwa srogie. W tym to jeszcze rozkosznym czasie, przyjaźń w greckiej wesołej przemieszkiwa świątyni; nie tak jak później, w ciasnej i posepnej gotyckiej kaplicy.

\*

Kazimierz był w najpiękniejszym i najważniejszym wieku podróży ludzkiej do grobu, to jest miał lat osiemnaście. Drugi ten dziesiątek życia składa się z dni najdłuższych i najgorętszych; a jak gorąca strefa pomnaża razem wielkość i jad zwierząt, tak podobnie w gorącości młodzieńczej dojrzewają rychlej miłość, przyjaźń, gorliwość za prawdą, duch rymotwórstwa; ale też i namiętności ze swymi zębami i pęcherzykami jadowitymi, wzrastają prędeż. W tym to wieku, a często i wcześniej dziewica przechodzi ze swych lat

---

<sup>1</sup> Tekst opublikowany w „Tygodniku Wileńskim” 1821, t. 2, s. 251–256 i 277–285.

na uśmiechach strawionych, i kryje swe oko stęskniałe pod zwieszonymi gałęziami tej samej żałobnej wierzby, pod którą młodzieniec zamyślony ochładza swe piersi i westchnienia. Szczęśliwy młodzianie! W tej ważnej chwili wszystkie Gracje, poetyczne, niewieście i sama natura porywają twą rękę, wyraźnie tobie się pokazują, i wtedy jesteś najszczęśliwszym. O nigdy już, nigdy znowu ten drugi dziesiątek życia nie powraca! Więcej on jeden ma w sobie przyjemności, niż wszystkie uroczystości najokazalsze. Jak skoro zaś przejdzie, wtedy się ręka śmierci zbliża do naszych piersi i oczu. Cokolwiek wtenczas myślimy, lub wyrażamy, straciło już powab poranny, a starzec wtedy tylko uczuje żywo widoki świata wyższego, kiedy się na nowo (co być może) w młodzieńca przeistoczy.

Nim do pożegnania przyszło, Kazimierz, dręczony smutkiem, przechadzał się po wszystkich ulubionych miejscach, które opuszczał; stąpał zwolna po tym świętym grobie lat dziecinnych; nie opuścił żadnego drzewa, pod którego cieniem spoczywał, żadnego wzgóрка, z którego się słońcu przyglądał: ze wszech stron stały się jego oku same zwaliska dzieciństwa przyjemnego. Z tego raju pierwszej młodości widział za sobą całą wesołą przeszłość, jakby rozkoszną rzeczkę; przed sobą postrzegał liczne drogi i rozległe przestrzenie, po których los tak rychło ludzi rozgania.

Była to chwila, kiedym go ścisnął w obecności wschodzącego słońca, przed całą wielką naturą, wznoszącą człowieka ślepego niewidomym ramieniem w obszerne, czyste, nieznanne krainy: w takich chwilach słów nie potrzeba, a gdy się co wyrzeczce, wyrazy mają moc najpotężniejszą. „Tu Kazimierzu, mówiłem, tu w obliczu niebios i ziemi, przed wszelkimi niewidomymi okołu człowieka jestestwami, daję ci z rąk moich opiekuńczych pięć wielkich darów; – daję ci niewinne serce – cześć niepokalaną – myśl o nieskończoności – los twój – i nadobną postać. Nie na ziemi to godziny będą cię zapytywać, czyś te wielkie dary utrzymał, albo je utracił; lecz kiedyś porównywać będą przysłe twoje życie z teraźniejszym”.

Nie ucałowawszy go, odszedłem; uczucia najlepszej woli głębiej się w sercu wrażają, gdy im przez znaki zewnętrzne okazywać się nie dozwalamy.

\*

W północ nowego roku, starzec stojąc w oknie, poglądał wzrokiem dośkwierającej rozpaczy na nieruchome wiecznie kwitnące niebo, na spokojną, czystą i białą ziemię; nikt na niej, prócz niego, nie był tak udręczonym i bezsennym. Zbliżał się bowiem już do grobu, okrytego nie barwą zieloną

młodości, lecz śniegiem starości; ale z czymże doń przychodził? z błędami, występkami i chorobami, z wyniszczonym ciałem, z duszą skalaną, z piersią pełną jadu, ze starością pełną żalu. Piękne dni jego młodości przemieniły się dzisiaj w straszdyła wskazujące mu ów pogodny poranek, kiedy ojciec stawiał go po raz pierwszy na rozdrożu życia. Dwie tam były drogi: po prawej stronie torem słonecznym cnoty, prowadzi droga do krainy spokojnej, pełnej światła; po lewej zaś, wśród kretowin zbrodni, wstępuje się w jaskinię czarną, pełną ściekającego jadu, sykających węzów i ciemnych duszących wysiewów.

Niestety! Węże wisiały mu u piersi, a krople jadu wyskakiwały na języku; poznał więc, co się z nim dzieje.

Odurzony nie wypowiedzianym udręczeniem, zawołał do niebios: „wróćcie mi młodość! o ojciec mój, postaw mię znowu na rozdrożu, abym inaczej obrał!”

Ale jego ojciec i jego młodość, zniknęły już od dawna. Postrzegłszy błędne światła iskrzące się po bagniskach i w dalekim gasnące przestworze, zawołał natychmiast: „jest to obraz głupich dni moich”. Widział jak gwiazda od nieba oderwana, błyszcząca w swym spadaniu, niktęła na ziemi: „to ja jestem”, rzekło zakrwawione jego serce, a węże żalu skryły się głębiej w ranach jego.

Obłąkana imaginacja wskazywała mu snujące się widma po dachach, a młyn wietrzny wynosił swe skrzydła, grożąc zgruchotaniem jego osoby. Zdawało mu się jeszcze, że w bliskiej trumnie szkielet przybierał rysy jego powoli.

W tym odrętwiającym przestרחu słyszeć się daje nagle, jakby daleki śpiew kościelny, muzyka z wieży na obchód nowego roku. Łagodniejsze wtedy uczucia w nim się wzbudzają; ogląda spokojniej na widnokrąg i na rozległą ziemię, przypomina swej młodości przyjaciół; ci szczęśliwi i lepsi od niego, byli nauczycielami ziemi, ojcami szczęśliwych dzieci, i zupełnej używali pomyślności. Rzekł wtenczas: „O gdybym był chciał, mógłbym jak i wy tę pierwszą noc suchym przespać okiem! – Ach! najukochańsi rodzice, mógłbym *być* szczęśliwym, gdybym podług waszych życzeń postępował i wykonywał wasze nauki!”

Gdy tak w obłąkaniu przypomina sobie czas swój młodociany, zdaje mu się jak gdyby szkielet z przybrzanymi jego rysami z trumny powstawał. Na koniec przez zabobonność, która w nocy Nowego roku postrzega duchy i przyszłość, stał się ów szkielet rzeczywiście żywym młodzianem, i w postawie nadobnej wystawiał mu gorzko pierwszą jego kwitnącą postać.

Nie mógł znieść tak okropnego widoku; zakrył oczy, a lzy gorące lały się strumieniem po śniegu; w udręczeniu i prawie nieżywy wzdychał tylko cicho:

„O młodości zwróć się, zwróć się raz tylko jeszcze!” Zwróciła się młodość: był bowiem istotnie młodzianem, tylko mu się w nocy Nowego Roku tak straszliwie śniło. Lecz błędy jego nie były snem, ale rzeczywistością. A tak z najgorętszą żarliwością dziękował Bogu, iż, będąc jeszcze młodym, mógł się zwrócić z brudnych manowców występku, a pójść torem słonecznym w krainę plonu i prawej pomyślności.

## DUMANIA

Przez J. Bychowca (Ciąg dalszy)

\*

### Bóg, natura, człowiek

O ty jestestwo nieskończone! Jakże potężnym i niepojętym sposobem połączasz wielkość z drobnością, ogromne światy z sercami upragnionymi pociechy, żarzące się słońce z małymi robaczkami. Kiedy człowiek, tak tobie nierówny, wyciągając ramię na pomoc większemu stworzeniu, depce nogami tysiące, niewidomych serc małych; wtedy u ciebie tak wszystko tysiącrotnie połączono, tak wszystkiego używasz przedziwnie, że płyn odwieczny niezliczonego gwiazd orszaku, oblewającego niebiosy, porusza równie kolebkę serca naszego bezsennego, jak spadek wody z gór olbrzymich, wstrząsa kolebkę biednego dziecka.

Wspaniała naturo! gdy się w twe dzieła z uwagą i upodobaniem wpatrujemy, kochamy też ludzi gorącej, a gdy wypada nad nimi ubolewać, lub nimi gardzić, wtedy ty nas nie opuszczasz: stawisz się wilgotnemu oku, jak wzgórek ozieniałą, wieczorną powleczony czerwonością. Ach! duszy, w której się poranna rosa wyobrażeń przemieniła w deszcz zimny, dreszczem przejmujący; sercu, w którym się, w podziemnych kryjówkach obecnego życia, ludzie obchodzą, jakby wyschłe pokrzywione mumie na szczudłach w sklepieniach grobowych; znędzniałemu i opuszczonemu oku, którego nikt więcej pocieszyć nie chce; dumnemu śmiertelnikowi, który przez niewiarę i odludność ślęczy nad smutkiem nieustannie: tym wszystkim, ty pokrzepiająca naturo! ze swymi kwiatami, górami i wodospadami okazujesz się wiernie z pociechą. Okrwawiony bolesnymi razy śmiertelnik ociera w milczeniu zimną kroplę cierpienia z oczu, aby się te jaśniej i rozleglej nad twymi wulkanami, wiosnami i słońcami rozpościerały.

Kiedy nas ludzie opuszczają lub ranią, wszelako i wtedy jeszcze niebo, ziemia i małe kwitnące drzewko jakby wyciągają ku nam ramiona, przyjmując pod swoją opiekę. Kwiaty się cisną na nasze zranione łono, źródła się ze łzami naszymi mieszają, a łagodne powiewy chłodzą nasze westchnienia. Oceanem pociechy włada szczodrobliwy Anioł; zanurzamy się ciężko ranieni w gorących jego wałach, i wychodzimy z wody życia uleczeni z odrętwiałości.

\*

Jeżeli łza kobiety prędko znika, toteż i uśmiech rychło przelatuje; ale nierównie częściej śmianie się jest pozorem a płacz rzeczywistością.

\*

W duszach niewieścich nie tylko posępne, lecz i wesołe okazywanie się powierzchowne, łatwo staje się prawdą.

\*

Kobieta nieco nawet rubaszna, raczej w szyszaku niż w czepku, chętnie pod chorą głowę podsuwa poduszkę, usługuje słabemu swoim ramieniem zamiast poręcza; pociesza z chęcią i tkliwością, często, tkliwiej, aniżeli kobieta nadto zniewieściała.

Mężczyźni mają zawsze coś do czynienia, i dusze swe za dom wysyłają. Kobiety muszą cały dzień w domu z sercami swymi przesiadywać.

\*

Mężczyźni, mawiała wielka nasza królowa Jadwiga, sposobiąc się do przyszłego swego przeznaczenia, zatwardzają siebie na wszystkie trudy i zmiany losu; my zaś kobiety zmiękczyliśmy tylko siebie. Należałoby nam wszystkim bardziej ukształcać i doskonalić umysł. Mimo to jednak, zatrudniamy i doskonalimy tylko nasze oczy i palce; serce nic o tym nie wie i czyni co mu się podoba: tak, że marząc coś sobie bez żadnego zamiaru, naprzemian płacemy, dręczymy się i skaczemy. Nieźle by było, gdybyśmy cokolwiek zaczęły filozofować; bo jak dotąd, poddajemy się nierozmyślnie wszelkim bez braku uczuciom, a gdy i myślimy, to tylko dla tego, żeby tym uczuciom podpomagać.

\*

W młodości pierwszej, czerstwemu młodzianowi, podoba się w dziewczę-  
tach powabna chorowitość, tkliwe czucie i lżą zroszone oko; lecz później,  
gdy już o małżeństwie i gospodarstwie myśleć zaczyna, bardziej się ubiega za  
światłymi i żywymi oczami, niż za płaczącymi; więcej się też o zimną i zdro-  
wą krew dopytuje.

### Człowiek w swojej słabości

Dla Boga! W jednym że człowieku bywają tak przeciwne własności jak  
w jednej winnicy rosną częstokroć jagody zbyt różne; ze strony południowej  
najwyśmienitsze, z północnej zaś takie, że się ich nie chce ani kosztować.

\*

Dla czegoż dusze najczystsze trapione bywają myślami obrzydliwymi, ja-  
dowitymi wieszającymi się na błyszczących ścianach jak pająki, które trzeba  
koniecznie spędzać lub zabijać?

Niestety! Walki wewnętrzne w umyśle kończą się pospolicie na naszej  
przegranej.

\*

Każde potężne uczucie; każde gwałtowne uniesienie, jest pewnym gatu-  
kiem pomieszania; zazwyczaj bowiem wymaga właściwego sobie świata, albo  
go buduje. Człowiek dąsa się równie często że już, lub że jeszcze  
teraz bije dwunasta. Proszę każdego, niechaj choć raz dozwoli we-  
wnętrznym swoim wygadać się uniesieniom niech ich wysłucha i zapyta się,  
czego; one chcą właściwie? Przełęknie się wtedy na okropność ich aż dotąd  
w połowie tylko wybełkotanych życzeń. Gniew życzy rodzajowi ludzkiemu  
jednej głowy; miłość jednego serca; żalność dwóch gruczołów dla łez, a duma  
dwojga kolan zgiętych.

\*

Wszyscy ludzie są lepsi od swych uniesień, ma się rozumieć złych, bo też  
wszyscy są gorsi od swych uniesień szlachetnych.

\*

Wszelkie nasze mocne uczucia, jak potwory urojone, trwają tylko do pewnej godziny, i gdyby człowiek zawsze do siebie przemówił: „ta namiętność, ta boleść, to zachwycenie pewnie cię za trzy dni opuści”; byłby wtenczas zawsze spokojnym i swobodnym.

### Człowiek ze swymi niebezpieczeństwami

W palącym i powiększającym szkłe skutku zamierzonego przedsięwzięć naszych, bojaźliwość okazuje nam często na drodze małe kamyczki, niby skały ogromne, grożące przywaleniem.

Pędzony natarczywością namiętności, dla tego się tak śmiało dopuszcza zbrodni, że się ich następstwa zabójcze przed nim ukrywają; spuszcza z łańcucha zaparte w swych piersiach zwierzęta drapieżne, i dopuszcza im wśród ciemności wdzierać się pomiędzy ludzi, nie postrzegając tego, jak wielu niewinnych oswobodzony potwór chwyta i dusi. Człowiek wyuzdany, rzuca około siebie lekkomyślnie żarzące się węgle swych przestępstw i wtenczas, gdy już w grobie leży, zapalają się domy od podłożonych jego iskier; słupy dymu wznoszą się nad jego grobem, jakby pomniki obelgi, i wiecznie nad nim trwać będą.

\*

O nigdy ran sumienia blizna nie okazuje; nie ochładza ich czas swoim skrzydłem, ale raczej otwiera je swoją kosą.

Opracował *Tomasz Kupś*